

**MROCZNA
MIŁOŚĆ**

T. M. FRAZIER



T.M. FRAZIER

**MRO CZNA
MIŁOŚĆ**

PRZEŁOŻYL
Grzegorz Gołębski



TYTUŁ ORYGINAŁU:
The Dark Light of Day
(Title #1)

Redaktor prowadząca: Marta Budnik
Redakcja: Anna Klim
Korekta: Małgorzata Lach
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © Viorel Sima © Gabriel Georgescu (Shutterstock.com)
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2013 and 2015 THE DARK LIGHT OF DAY by T.M. Frazier

Copyright © 2019 for the Polish edition
by Wydawnictwo Kobiعة Łukasz Kierus
Copyright © for the Polish translation by Grzegorz Gołębski, 2019

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2019
ISBN 978-83-65601-99-5



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiعة
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

PROLOG

Jake

BÓL W GŁOWIE NARASTAŁ. Pulsował w rytmie zgodnym z powolnym biciem serca. Zamglony wzrok płatał mi figle, raz pokazując pojedyncze, a raz podwójne obrazy. Gdy sięgnąłem ręką do potylicy, skąd promieniował ból, ciepły czerwony płyn oblepił mi palce. Przez materiał cienkiej koszuli wyczuwałem szorstką, zimną podłogę. Leżałem bezwładnie w salonie. Rozejrzałem się wokół, aż wejrzałem w szalone, przekrwione oczy człowieka, którego znałem całe życie – a przynajmniej myślałem, że go znałem. Wyrzeźwiałem w jednej chwili, mgła uniosła się przed oczu, a serce zabiło mi żywiej. Był przygotowany do uderzenia, gotowy, by zabić. Grube żyły odznaczały mu się na szyi. Widziałem, jak pulsują wraz z każdym głębokim oddechem. Spojrzałem ponad nim na siekiere, którą trzymał w ręku. Bez chwili wahania opuścił ramię, by rozłupać mi czaszkę na pół. Zanim ostrze dosięgło mojego czoła, uwolniłem się z silnego uchwytu mężczyzny i potoczyłem na bok, unikając ciosu – i wiekuistej ciemności – zaledwie o milimetry.

Uniosłem się na niepewnych nogach, próbując zaczerpnąć tchu i przygotowując się na kolejny atak. Zaskoczył mnie widok człowieka, który zaledwie przed chwilą był potworem, skulonego na podłodze z twarzą zwróconą w dół, do meksykańskich płytek. Jego dłoń rozwarła się i puścił siekiere, trzęsły mu się ręce.

Płakał.

– Tato? – zapytałem.

Próbowałem wszystkiego, co tylko w mojej mocy, by ulżyć mu w cierpieniu, a on w zamian zrobił wszystko, bym poczuł całą głębię jego bólu.

– Wynoś się stąd! – ryknął pomiędzy szlochami, nadal z twarzą w kierunku podłogi.

– Tato, pozwól sobie pomóc – błagałem. Kopnąłem siekiere poza jego zasięg.

– Wynoś się z tego domu i nigdy, kurwa, nie wracaj!
– Unióś się na kolana, powoli podnosząc głowę, by spojrzeć mi w twarz. Z kącików ust ciekły mu strużki śliny. Jego oczy lśniły wilgocią. Gdy mówił, kłuł mnie smród alkoholu.

Widziałem już ojca nieraz w złym stanie, ale tym razem to było coś zupełnie innego.

– Nie chcę cię tu nigdy więcej widzieć.

– Tato, proszę, pozwól mi sobie pomóc – nalegałem.

Naprawdę mogłem mu pomóc: załatwić odwyk, zapewnić opiekę terapeutyczną, cokolwiek, byle tylko przestał się czuć, jakby jego życie dobiegło końca.

Pochyliłem się i chwyciłem go za ramię, by pomóc mu wstać.

– Kurwa, nie dotykaj mnie! – Wyrwał się z mojego uchwytu. – Ty... To miałeś być ty. To przez ciebie nie żyją.

Jego słowa bolały, ale to nie był pierwszy raz, kiedy je usłyszałem. Już dwa tygodnie sprzątałem jego wymioty i starałem się unikać pijackich wybuchów furii.

– Chciałbym, żebyś to był ty – powiedział, tym razem ciszej.

– Tato, jesteś pijany, nie mówisz tego poważnie.

– A właśnie że mówię. Przed chwilą próbowałem cię, kurwa, zabić, Jake, i szczerze mówiąc, żałuję, że mi się nie udało. – Spojrzał mi prosto w oczy i w tym momencie sprawiał wrażenie, jakby w pełni się kontrolował. – To miałeś być ty. To ty powinienesz być umrzeć. Nie oni. Ja tylko chciałem to naprawić, wymienić ciebie na nich. Sprawić, by było tak, jak powinno być. – Jego głos zamienił się w szept. – Jesteś dla mnie martwy, chłopcze.

Coś we mnie pękło.

Jeśli miałbym wskazać moment, w którym zrozumiałem, że moje życie zupełnie się zmieni, że ja zupełnie się zmienię – to był właśnie ten moment.

To wtedy dotarło do mnie, że byłbym zdolny do morderstwa.

Podniosłem siekiere, wyprostowałem się i ruszyłem prosto ku niemu, omijając przewracane meble w salonie. Chwyliłem rękojęść w obie dłonie i uniosłem narzędzie nad głową. Wyraz zaskoczenia i strachu na twarzy ojca był dla mnie czystą rozkoszą. Chciałem zapamiętać jego strach, odtwarzać go raz za razem w głowie. Nawet nie próbował robić uników. Opuściłem siekiere z całych sił, ale zatrzymałem ją o milimetry od jego klatki piersiowej.

Wyraz czystego przerażania na jego twarzy nie ruszył mnie zupełnie. Skończyłem z pomaganiem mu.

– Nigdy nie zapomnij, że tym razem się powstrzymałem. Bo jeśli jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę, wyrwę ci serce z piersi, starcze.

Rzuciłem siekierę na podłogę i plunałem na niego, upewniając się, że zrozumiał, że był dla mnie niczym, tak samo jak ja dla niego. Zostawiłem go trzęsącego się na podłodze i nie zatrzymałem się nawet na moment ani nie obejrzałem. Otworzyłem drzwi frontowe i wyszedłem w noc.

Zapaliłem papierosa na ganku i wkroczyłem w mrok podjazdu, gdzie stał mój motocykl. Nie bawiłem się w pakowanie. W tym domu nie było już nic, czego bym chciał lub potrzebował. Mógłbym przysiąc, że gdy odpalałem motor, usłyszałem płacz ojca, ledwo słyszalny poprzez ryk silnika.

Ale było już za późno.



TO WYDARZYŁO SIĘ cztery lata temu.

Minęło sześć dni, od kiedy ostatni raz odebrałem komuś życie, a teraz zmierzałem na motocyklu z powrotem do miejsca, którego nienawidziłem najbardziej.

Moją motywacją do pracy nie była już kasa. Gdybym ja tego nie robił, robiłby to ktoś inny. Może wydawało mi się po prostu, że ratowałem kolejnego biednego frajera od życia, do którego byłem lepiej przystosowany.

Nie miałem żadnych złudzeń co do własnej wielkości. Podczas gdy innym facetom stawał na widok szybkich i drogich samochodów, ja wolałem wolność, jaką dawał mi motocykl. Kupno domu oznaczało dla mnie zapuszczenie korzeni, a to była ostatnia rzecz, jakiej chciałem. Nigdzie

nie zabawiałem dłużej, niż trwało wykonanie roboty. No i nienawidziłem się nudzić, więc gdy musiałem przycząić się po jakimś głośnym zabójstwie, handlowałem trochę koką lub trawą – ot tak, żeby mieć jakieś zajęcie.

„Bezczynność prowadzi do zguby, Jake”, mawiała moja matka.

Co ona mogła wiedzieć.

Ja nigdy nie pozostawałem beczynny. Jeśli ostatnie kilka lat czegoś mnie nauczyło, to tego, że moim przeznaczeniem było przynoszenie zguby innym.

Nie planowałem nigdy wracać do miejsca, które kiedyś nazywałem domem, nawet gdy Reggie, główny mechanik w warsztacie ojca i jedyna osoba z rodzinnego miasta, z którą utrzymywałem kontakt, poinformował mnie, że kolejna wyprawa w głąb flaszki może być dla ojca ostatnią. Ojciec stworzył sobie własne piekielko wyścielone wymiocinami, popiołem i pustymi butelkami po Jamesonie. Ale gdy Reggie powiedział, że dom, w którym się wychowałem – dom, który moja matka kochała aż do dnia swojej śmierci – był zagrożony zajęciem przez poborcę podatkowego, coś we mnie powiedziało, bym go ratował.

Nie dla ojca. Dla mamy. Jedynej kobiety, która mnie kochała. Do tej pory nic dla niej nie zrobiłem. Poza tym, że przeze mnie zbyt wcześnie trafiła do grobu.

W Coral Pines, moim rodzinnym mieście i jednocześnie niewielkiej wyspie przy południowo-zachodnim wybrzeżu Florydy, nabożną cześć oddawano pick-upom na podniesionym podwoziu i wielkich oponach, chromowane stojaki na broń lśniły w nich jaśniej niż słońce w niedzielny poranek. Miasta takie jak Nowy Jork i Chicago określane są betonowymi dżunglami. Coral Pines powinno być

nazywane plażowym więzieniem lub tropikalnym wariatkowem.

Lub moje ulubione: zjełczała piekielna wchujtopia.

Nic oprócz turystów, buraków i duchów.

Nie wiem, których nienawidzę najbardziej.

Styl życia włóczęgi, który obrałem po wyjeździe z tego zadupia, odpowiadał mi w zupełności. Przemieszczałem się z miasta do miasta, nigdzie nie zatrzymywałem się dłużej, niż to było konieczne. Wykonywałem zadania zlecane mi za pośrednictwem tymczasowych skrytek pocztowych lub jednorazowych, niemożliwych do namierzenia telefonów komórkowych. W żadnym miejscu nie zostałem na tyle długo, by wejść w jakiegokolwiek znaczące relacje z kimkolwiek.

Było to dokładnie to, czego chciałem.

Rzadko wyjawiałem komukolwiek prawdziwe imię. Zupełnie odwrotnie było na rodzinnej wyspie. W Coral Pines każdy wiedział, kim jestem, bo tam wszyscy wiedzieli wszystko o innych. Cudza przeszłość, nazwisko panieńskie matki, paskudne szczegóły życia rodzinnego, które ludzie zwykle próbują zakopać głęboko na dnie szafy. W Coral Pines sekretów nie dało się utrzymać w tajemnicy.

A ja miałem sporo takich, które chciałem zachować dla siebie.

Oni może i znali Jake'a Dunna, który był nieudacznikiem jako nastolatek, ale nie mieli pierdolonego pojęcia, kim ten chłopak się stał. Nie mówiąc o tym, do czego był zdolny.

Do Coral Pines prowadził dwupasmowy most Matlacha Pass. Była to jedyna droga łącząca wyspę ze stałym lądem i przez całe dwadzieścia dwa lata mojego życia

zawsze prowadzono na niej jakieś roboty. Tak było i tego dnia, kiedy – nie z własnej, nieprzymuszonej woli – przejechałem przez most pierwszy raz od kilku lat. Gdy prowadziłem motocykl, oblepiał mnie kleisty skwar, jakbym próbował płynąć przez jezioro kisielu. Poczujęm, że wracając do mnie wszystkie negatywne emocje, jakie pozostawiłem za sobą, gdy opuściłem to zasnute miejsce.

Odżyło wspomnienie pogrzebu brata sprzed czterech lat. Zaraz po ceremonii znalazłem matkę, nadal ubraną w czarną sukienkę z krótkimi rękawami, którą miała w kościele, leżącą twarzą w dół z obrzynem przy boku i większością głowy rozbryzganą na różowych kafelkach prysznicowych. Nie chciała zostawić bałaganu. Napisała to w liście, ale nie wiedziała wystarczająco dużo o broni, by rozumieć, że wybrała najbardziej bałaganiącą ze wszystkich, które znajdowały się na stojaku na strzelby ojca.

Ojciec był w totalnej rozsypce na pogrzebie syna. Gdy chowano moją matkę, przebywał w psychiatryku dwa miasta dalej. Zawsze winił mnie – nie tylko za śmierć Masona, ale i za samobójstwo mamy. Nieraz powtarzał mi, że tamtego poranka miałem być z Masonem na łodzi i że to moja wina, że skończył, unosząc się na wodach rzeki Coral Pines. Prawdziwym powodem, dla którego ojciec mnie nienawidził, było to, że uważał, że to nie Mason – szóstkowy uczeń, stypendysta, kapitan drużyny bejsbolowej i wytrawny wędkarz – powinien był wtedy umrzeć. To miałem być ja, drugi syn – dealer marihuany, pies na baby, skory do bójek i wiecznie wagarujący.

Trochę się z nim zgadzałem. Gdybym to był ja, a nie Mason, mama nadal by żyła. Ojciec nie próbowałby utopić się w taniej whisky, a w świecie żywych byłoby kilka

osób więcej. Ja nie dawałem nic, a odbierałem wszystko. Ale też, żeby było uczciwie, nie oczekiwałem niczego od świata, który rozrywał mnie na kawałki na każdym kroku.

Nie oczekiwałem niczego do dnia, kiedy spotkałem pewną rudą z charakterkiem.

W wieczór, gdy poznałem Abby Ford, moje życie zmieniło się na zawsze.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059